

Powrót maratończyka

**Przez dwa lata nie rozmawiał z polskimi mediami, dziś rozmawia z „Przełęczem”.
Pierwszy i jedyny wywiad z byłym wicepremierem**

Grzegorz W. Kołodko jest dyrektorem Centrum Badawczego Transformacji, Integracji i Globalizacji TIGER (www.tiger.edu.pl) w WSPiZ im. Leona Koźmińskiego, wicepremierem i ministrem finansów RP w latach 1994-1997 i 2002-2003

Był pan wicepremierem i ministrem finansów pod rządami aż czterech premierów. Jeden z nich mawiał, że „prawdziwych mężczyzn poznaje się nie po tym, jak zaczynają, ale jak kończą”. A pan jak kończył?

- Prawdziwych mężczyzn nie poznaje się ani po tym, jak zaczynają, ani jak kończą, tylko po tym, czy dotrzymują słowa.

Czy pan dotrzymywał, zapowiadając w 1994 roku i ponownie w 2002 przyspieszenie wzrostu gospodarczego.

- Najlepiej świadczą o tym wyniki.

Dwukrotnie z własnej woli odchodził pan z rządu w trakcie kadencji. Czy bał się pan trwać do wyborów, w których rządzący w Polsce zawsze tracą władzę?

- Cały czas wyznaję pogląd, że ktoś odpowiedzialny powinien brać się za politykę tylko wówczas, gdy spełnione są dwa warunki. Po pierwsze, trzeba mieć dobry program, w tym wypadku reform strukturalnych służących rozwojowi społeczno-gospodarczemu i, po drugie, muszą istnieć polityczne warunki, przynajmniej ich krytyczne minimum, wdrożenia tegoż programu. W innym przypadku paranie się polityką to strata czasu. Dlatego też dwukrotnie w przeszłości – w 1989 i ponownie w 1993 roku – odmówiłem wejścia do rządu. Gdy zaś oba te czynniki były spełnione – po raz pierwszy w 1994 i ponownie w 2002 roku – podjąłem wyzwanie. A jak sytuacja uległa zmianie, to z rządu odszedłem. Przed niespełna dwoma laty zaraz po rozstrzygającym referendum w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej, którego wygranie miało fundamentalne znaczenie.

A gdyby to pana dwa lata temu posłuchano? Prezydent Kwaśniewski mówił, że jedynym programem, jaki tak naprawdę SLD miał, jest „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”. Jaka dziś byłaby sytuacja, gdyby realizowano wtedy pana koncepcje?

- Mielibyśmy tempo wzrostu PKB rzędu 6-7% i szansę jego utrzymania przez następne lata. Co najmniej ćwierć miliona ludzi znalazłoby pracę, inflacja byłaby o punkt procentowy niższa. Wyższe byłyby płace, mniej byłoby biedy. Szybciej rosłyby inwestycje i eksport. Mniejszy też byłby deficyt budżetowy, dając szansę na korzystne wprowadzenie euro najdalej w 2008 roku. Mamy zaś wyhamowanie tempa wzrostu do jakichś 3% w pierwszej połowie tego roku z wszystkimi tego konsekwencjami finansowymi, społecznymi, no i politycznymi.

Może kończył pan tak, jak kończył odchodząc dwa lata temu z rządu SLD, bo pana program się nie sprawdzał?

- Sprawdzał się, sprawdzał. To kierownictwo SLD się nie sprawdziło. Tak było w 1997 roku, tak też stało się w roku 2003, kiedy SLD dokonało zaskakującego zwrotu w prawo.

Wojna i pokój

Nie miał pan dostatecznego wsparcia politycznego ze strony SLD?

- Na początku tak, w szczególności w trakcie negocjowania korzystnych dla Polski finansowych warunków wejścia do Unii Europejskiej. Potem nie starczało poparcia dla mojej polityki szybkiego wzrostu i równoczesnej walki z biedą poprzez sprawiedliwsze dzielenie owoców tego wzrostu. Późniejsze, dokonywane już po moim odejściu nieudolne cięcia wydatków socjalnych musiały skończyć się zarówno zahamowaniem tempa wzrostu, jak i poszerzeniem i tak już dramatycznie dużego marginesu wykluczenia społecznego. Tak oto ta lewica sama sobie narysowała własną karykaturę. Gdy zaś w polityce to, co jest konieczne, staje się niemożliwe, człowiek odpowiedzialny zajmuje się tym, co możliwe. I – tym samym – sensowne. W moim przypadku oznaczało to dobrowolne odejście z polityki i powrót do nauki. Skądinąd te wędrówki z nauki do polityki i z powrotem są fascynujące i niebywale kształtujące.

Podobno od czasów Kaleckiego jest pan najczęściej cytowanym i najwięcej za granicą publikującym polskim ekonomistą, pana książki naukowe wychodzą w kilkunastu językach, koncepcje ekonomiczne są wykładane na wielu uniwersytetach świata, a niektóre rządy – nie tylko w Europie Środkowo-Wschodniej, ale także w Chinach i wielu krajach rozwijających się – opierają politykę gospodarczą na pana radach. Co jest trudniejsze, podróż z nauki do polityki czy z polityki do nauki?

- Jedno i drugie jest wyzwaniem. Jak wyprawa na wojnę i powrót z niej. I po każdym wojażu jest się już trochę innym człowiekiem, bo poznaje się lepiej innych i siebie. Ale te przejścia mają zupełnie odmienną naturę. Polityka i nauka to jednak dwa różne światy. Tak właśnie jak wojna i pokój. W polityce liczy się skuteczność, a w nauce prawda. W polityce można być z prawdą na bakier, ale dla intelektualistów i ludzi uczciwych jest to trudne do przyjęcia. Wejście do polityki to wstrząs, radykalna zmiana. Powrót natomiast trwa długo.

Pewnie i dlatego, że trzeba trochę podleczyć rany zadane w ferworze politycznych wojen?

- Najlepiej ich unikać zawczasu. Notabene, zawsze trzeba trzymać dobrą formę. Wtedy łatwiej brać się bary z przeciwnościami losu – i tego politycznego, i tego naukowego.

Nadal pan codziennie biega po kilkanaście kilometrów?

- Biegam, biegam. Innych też zachęcam, bo wtedy nie tylko człowiek czuje się dobrze, ale i myśli układają się lepiej. W zeszłym roku przebiegłem sześć maratonów – od Nowej Zelandii poprzez Arktykę do Kalifornii i Karaibów. Ostatni zaś we Wrocławiu miesiąc temu.

Co pan sądzi o polskiej scenie politycznej. Czy naprawdę jest już aż tak źle, że gorzej być nie może?

- Trudno nie być zdegustowanym widząc, co się dzieje. Paradoksalnie, po kilkunastu latach transformacji do demokracji parlamentarnej, społeczeństwa obywatelskiego i gospodarki rynkowej najgorzej jest z tą pierwszą. Polska scena polityczna jest przejawem marnej kultury politycznej i niskiej jakości instytucji. Utrudnia to bardzo uprawianie sensownej polityki – każdej, ale zwłaszcza gospodarczej. O ileż więcej można by osiągnąć, gdyby nie dysfunkcjonalność polityki.

Śmierć neoliberalizmu

Nadchodzą wybory, a po nich „ma być lepiej”. Zapowiadają to wszystkie partie prące do władzy i głoszące recepty na poprawę sytuacji, także tej w sferze jakości polityki.

- Niestety, tak nie będzie. Nadchodzą ciężkie czasy. Sądząc z licytowanych pomysłów gospodarczych, najbliższe lata są „na przeżycie”, choć nie przeżyje tego – i nie ma czego żałować – naiwny polski neoliberalizm. Ten po następnej kadencji oczekuje kompletna już kompromitacja i cywilna śmierć. Wejdziemy w czasy post-liberalne, nie tylko w Polsce zresztą. Trzeba być na nie gotowym. Teraz zaś nie należy oczekiwać żadnego przełomu, ani tym bardziej istotnej, odczuwalnej zmiany na lepsze. To przerasta możliwości pretendujących do władzy.

Dlaczego? Może wśród nich też są ludzie, którzy z jednej strony mają dobre programy, a zarazem są tam partie, które stworzą niezbędne polityczne warunki do realizacji tych zamierzeń? Może właśnie nadchodzi czas, kiedy będą spełnione i programowe, i polityczne warunki szybkiego rozwoju?

- Gdyby tak było, można by tryskać optymizmem. Niestety, brakuje go Polakom coraz bardziej – i społeczeństwu jako całości, i konsumentom, i przedsiębiorcom, i inwestorom, co jest jednym z czynników spowalniających wzrost. I trudno się dziwić patrząc z jednej strony na to, co już się dzieje, z drugiej zaś wyobrażając sobie, co dzieć się będzie pod nowym rządem. Nowym, choć przecież z weteranami polityki, którzy mieli już sposobność – acz pod innymi sztandarami i barwami politycznymi – wykazać, co potrafią. Zdumiewające jest, jak szybko wielu ludzi o tym zapomina pod wpływem zmasowanej propagandy i kolejnego przefarbowania się części tzw. elit.

Nie wierzy pan zatem w możliwość sensownego, korzystnego z punktu widzenia polityki gospodarczej ułożenia sceny politycznej po wyborach?

- To nie jest kwestia wiary, tylko wiedzy. Wiem, że nie będzie to możliwe. Wiedzą to zresztą także pretendenci do władzy. Potem oczywiście będą zrzucać odpowiedzialność na innych. Na koalicjantów, gdyż w Polsce to jakoby oni czynią rzeczy niemożliwymi. Jest to dość cyniczna gra polityczna, gdyż faktycznie to okłamuje się wyborców, ale potem zawsze będzie można powiedzieć: „my chcieliśmy, ale oni nam to uniemożliwili”. A czeka nas znowu koalicja kota z psem, a może nawet jeszcze i z myszą na dodatek. Z tego może wyjść tylko rejuwach, a nie harmonia. Dotyczy to także, niestety, polityki gospodarczej. A szkoda, bo mamy spory potencjał...

Ale przyjmijmy jednak, że powstaną sprzyjające polityczne warunki realizacji dobrej strategii gospodarczej. Czy rysuje się taka strategia? Czy liderzy i eksperci partii, które aspirują do władzy, mają sensowny program gospodarczy?

- Ten warunek odpowiedzialnej polityki gospodarczej też nie jest spełniony. Programu jak nie widać, tak nie widać, a zważywszy na bieg czasu trudno oczekiwać, że się pojawi. Zresztą niewiele nowego można tu wymyślić. I to jest polityczny szkopuł, gdyż nowy rząd musi twierdzić, że ma nowe pomysły. Ale jest to też i merytoryczna szansa, bo brak nowych (nie licząc tych złych) pomysłów, zmusza do sięgnięcia do dobrych, już istniejących.

Podatek prosty czy prostacki?

Co Pan ma na myśli? Wprowadzenie podatku liniowego?

- To przecież groteska! I jeden z najgorszych i najbardziej naiwnych pomysłów ostatnich lat.

Przecież wprowadzono go w kilku krajach i – jak twierdzą zwolennicy tego rozwiązania – sprawdza się, co przejawia się w szybkim wzroście produkcji na przykład w Rosji czy Słowacji.

- Jest to oczywista nieprawda, sprzeczna z faktami. Poglądy takie lansują ci, którzy na tym rozwiązaniu korzystają, a u nas mieliby dopiero skorzystać, oraz ci, co czynią tak z motywacji ideologicznej. A wiara – jak wiadomo – cuda czyni, może więc też skłonić skądinąd wykształconych i inteligentnych ludzi do uwierzenia w różne ekonomiczne brednie, bo dlaczegoż by nie? Nie pierwszy to raz i nie ostatni.

We wspomnianych krajach jest podatek liniowy i jest szybki wzrost gospodarczy. Czy to nie dowodzi skuteczności tego instrumentu?

- Nie. Przejście do podatku liniowego oznacza zwiększenie obciążeń podatkowych dla zdecydowanej większości relatywnie mniej zamożnej i ubogiej ludności oraz ich zmniejszenie dla bardziej zamożnych warstw. Co zaś do Słowacji i Rosji, to fakt, że nastąpiło tam przyspieszenie tempa wzrostu w okresie po wprowadzeniu takiego podatku, ale bez żadnego z tym związku. Podkreśla to nawet MFW w swoich analizach. Przyspieszenie tempa wzrostu wzięło się w Słowacji z zupełnie innych powodów, ze splotu konsekwentnych reform strukturalnych inspirowanych koniecznością dostosowań do wymogów integracji z Unią Europejską i z rozsądnej koordynacji polityki budżetowej rządu z polityką pieniężną banku centralnego, czego skądinąd tak bardzo brakuje u nas. W Rosji zaś wcześniej silnie zadziałał efekt dewaluacji rubla po kryzysie finansowym z sierpnia 1998 roku, a ostatnio niezwykle pozytywnie na dynamikę produkcji wpływają wysokie ceny ropy naftowej. Polityka reform jest też ostatnio bardziej skuteczna niż w latach 90. Z czasem jednak wszystkie te kraje, który wprowadziły podatek liniowy, odejdą od niego i powrócą do progresji, która jest uzasadniona zarówno względami ekonomicznymi, jak i społecznymi.

To znaczy?

- Ekonomicznie podatek progresywny jest bardziej wydajny z punktu widzenia formowania kapitału i finansowanie długotrwałego wzrostu, sprzyja bowiem wyższemu poziomowi oszczędności w całej gospodarce narodowej. I dlatego właśnie, a nie z jakiejś dziwnej głupoty stosowany jest od z góry wieku na całym świecie, w tym we wszystkich wysoko

rozwiniętych, bogatych krajach. Dynamiczną równowagę finansową zaś łatwiej osiągnąć opodatkowując wyższymi stawkami wyższe przedziały dochodów, gdyż krańcowe przyrosty dochodów mają relatywnie mniejsze znaczenie dla uzyskujących je podmiotów. Społecznie natomiast podatek liniowy w oczywisty sposób jest niesprawiedliwy, pogłębia on bowiem jeszcze bardziej i tak już duże rozpiętości dochodów ludności. I tu występuje związek między ekonomicznymi i społecznymi aspektami systemu podatkowego i wynikającej stąd struktury dochodów: nadmierne zróżnicowanie dochodów obraca się przeciwko wzrostowi gospodarczemu. Podobnie zresztą jak ich nadmierne spłaszczenie, ale przecież nie to nam grozi.

Czyli jest pan przeciwko uproszczeniu naszego systemu podatkowego, co tak agresywnie proponują w kampanii wyborczej niektóre partie, zwłaszcza PO?

- Bynajmniej. Rzecz przecież nie w tym, że tzw. podatek liniowy to proste rozwiązanie, gdyż faktycznie jest to rozwiązanie prostackie. Złożoność systemów fiskalnych nie polega przecież na występowaniu kilku progów podatkowych! Jeśli ktoś potrafi obliczyć, ile wynosi 15% od jego dochodu, to przecież potrafi i wyliczyć, ile stanowi 30% (dla ułatwienia dodam, że dwa razy więcej). Jeśli przeto ktoś chce, aby system był „prosty”, to niech zaproponuje liniową stawkę 50%. No bo przez dwa to każdy umie podzielić, także wszyscy propagatorzy „podatku liniowego”. A tak na serio to rzecz w faktycznym uproszczeniu systemu podatkowego, za czym w pełni i od dawna się opowiadam. Chodzi tu jednak o coś zupełnie innego, a mianowicie o systemowe, umocowane regulacjami prawnymi wyczyszczenie kategorii: „dochód”, „koszty uzysku”, „dochód do opodatkowania”. Trudności ludziom dostarcza nie to, że jest kilka stawek podatku, tylko fakt, iż skomplikowane jest określenie odliczeń i ustalenie dochodu podlegającego opodatkowaniu.

Dobry fiskus

Czy więc mamy zostawić system fiskalny w takim stanie, jak jest? Przecież narzekają na fiskusa prawie wszyscy. Pan nie? Co zatem pan radzi czynić?

- Zlikwidować ulgi podatkowe, niektóre z nich zastępując dobrze zaadresowanymi transferami socjalnymi ukierunkowanymi na ograniczanie biedy, określić możliwie najprościej kategorię „dochód do opodatkowania”, oczyścić system podatkowy z jego uciążliwości stworzonych przez lata całej radosnej twórczości przecież nie kolejnych ministrów finansów, tylko partii i posłów. Przecież to ja zaproponowałem już ponad dwa lata temu uproszczenie systemu i ograniczenie deklaracji PIT do jednej strony! Nawet jej wzór został opublikowany. Tylko brać i wdrażać! I co się działo? Największy zgiełk w rzekomej obronie różnych pokrzywdzonych podnosili właśnie „reformatorzy” z partii opozycyjnych, choć nie mniejszy i – niestety – skuteczny partii rządzącej. A szkoda, bo mogliśmy mieć już za sobą to „upraszczanie” systemu podatkowego. I to bez wciągania się w tak błędne i szkodliwe dla równowagi i dynamiki gospodarczej pomysły jak „podatek liniowy”. Szkoda na to czasu, ale trudno, przyjdzie jeszcze go trochę stracić, zanim ta koncepcja padnie.

Skoro jest pan za uproszczeniem systemu podatkowego i sporo sam w tym kierunku wcześniej zrobił, to czy jest też pan za obniżeniem podatków?

- Dobry system podatkowy to taki, który równocześnie sprzyja oszczędnościom i formowaniu się kapitału, zwłaszcza rodzimego, ale i umożliwia sprawiedliwy podział produktu

społecznego i owoców wzrostu wydajności pracy w długim okresie. Jeśli tylko można sprostać obu tym wyzwaniom, wtedy – ale tylko wtedy – należy obniżać podatki.

Pan obniżył w 1997 roku podatki od dochodów osobistych z 45, 33 i 21 do 40, 30 i 19% po tym jak wcześniej, w końcu 1993 roku, na wniosek Marka Borowskiego podniosła je koalicja SLD-PSL. Co więcej, to pana zasługa, że tak niskie jest w Polsce opodatkowanie przedsiębiorstw. Spadło ono z 40%, który to próg jeszcze na początku lat 90. wprowadzili liberalni politycy, obecnie pewnie nie chcący już o tym pamiętać, do 19% obecnie.

- Ja jak ja. Raczej parlament z mojej inicjatywy, skądinąd po niebywale trudnych potyczkach, zwłaszcza w obrębie rządzącej koalicji, ale także i na forum publicznym - wrogich partii i nieprzychylnych mediów nie wykluczając. Do listy ograniczania podatków trzeba też dodać likwidację od 1995 roku dyskryminującego przedsiębiorstwa państwowe tzw. popiwku oraz odejście od podatku giełdowego na początku 1996 roku. Co do przedsiębiorstw, to w ramach programu „Pakiet 2000” zainicjowałem redukcję podatku od osób prawnych, tzw. CIT, który pierwotnie obniżyliśmy z 40 do 32%. Kolejne cztery punkty procentowe – i tylko cztery – ujął rząd AWS-UW. Potem – po zejściu do 27% w roku 2003 – nastąpiło ostre cięcie do obecnie obowiązujących 19%, co zaproponowałem dwa lata temu, acz pod warunkiem, że będą towarzyszyły temu symetryczne dostosowania po stronie wydatków. Niestety, tego nie uczyniono. Zwiększa to napięcia w systemie naszych finansów publicznych, oddalając także perspektywę wejścia do euro.

Nie wejdziemy już na pewno do euro w roku 2007 czy 2008, do czego pan dążył, ale czy wejdziemy doń w roku 2009, jak chce tego obecny rząd?

- Może i chce, ale nie potrafi, na co wskazują minione dwa lata. Tym bardziej, że realizację tego ambitnego – i pożytecznego dla polskiej gospodarki, co trzeba podkreślić – zadania niepomrotnie utrudnia NBP swoją polityką pieniężną. Nie tylko oddala ona perspektywę realizacji monetarnych kryteriów konwergencji z Maastricht, ale zarazem przyczynia się do relatywnie wyższego poziomu deficytu budżetowego.

Jak to możliwe? Przecież to prezes NBP ciągle strofuje Rząd za zbyt duży deficyt i poucza, że należy go ciąć.

- Ano tak, że z jednej strony zbyt duża restrykcyjność polityki pieniężnej pociąga za sobą szkodliwą dla eksportu i korzystną dla importu aprecjację kursu złotego. Jego wysoki kurs szkodzi dynamice produkcji, co zawęży automatycznie tzw. bazę podatkową, a więc skalę potencjalnego dochodu do opodatkowania. Z drugiej strony, zbyt wysokie stopy procentowe – choć ostatnio słusznie obniżane – zwiększają koszty obsługi długu publicznego, a tym samym poziom wydatków budżetu centralnego. Za grzechy NBP cierpi i budżet, bo mniej może wydać na infrastrukturę i cele socjalne, i podatnik, bo relatywnie więcej płaci, i przedsiębiorca, bo ma wyższe koszty kredytu.

Wrócić na ścieżkę szybkiego wzrostu

Czy można więc wprowadzić Polskę na ścieżkę szybkiego i długotrwałego wzrostu gospodarczego? Dowodzi pan tego w swoich pracach naukowych i – co ważniejsze – wykazał to pan w praktyce. Jak na nią wrócić?

- Tu nie ma prostej recepty. Sterowanie wzrostem gospodarczym to nader złożone przedsięwzięcie i technokratyczne, i polityczne. Rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, dlatego że wiele rzeczy dzieje się naraz. I wiedza, o jakie to sprawy tu chodzi, to jest ten „sekreć”, „recepta” na szybki wzrost, na dynamiczny i zrównoważony – finansowo, ekonomicznie, społecznie, ekologicznie – rozwój. W różnych sytuacjach inaczej trzeba ułożyć skomplikowaną wiązkę instrumentów, od których kompozycji zależy wzrost produkcji, a także inwestycji i konsumpcji jako kategorii makroekonomicznych. Inną przecież politykę realizowałem w ramach „Strategii dla Polski”, podczas zasadniczego przyspieszenia tempa wzrostu w latach 1994-1997, kiedy to tempo wzrostu PKB na mieszkańca wynosiła aż 6,4% średnio rocznie, inną zaś w celu zdynamizowania gospodarki w latach 2002-2003, co już wkrótce potem doprowadziło do wzrostu PKB w wysokości 6,9% w pierwszym kwartale 2004. Z takimi wskaźnikami dynamiki można było dążyć do odrabiania zaległości rozwojowych Polski i istotnej poprawy warunków życia ludności.

Dlaczego zatem schodzi się później z tej ścieżki?

- W tych wypadkach działo się to wskutek złego skomponowania całej wiązki instrumentów polityki gospodarczej. W szczególności szkodzi przewartościowany i zarazem niestabilny kurs złotego, zaniedbania infrastrukturalne, korupcja i nadmierna biurokracja, fatalny klimat polityczny wpływający na pesymistyczne oczekiwania podmiotów gospodarczych, zwłaszcza przedsiębiorców i inwestorów. Obecnie konsumenci bardzo się zadłużają, a przedsiębiorstwa nie inwestują, tylko odkładają depozyty w bankach. Przejadamy przyszłość. Decydują tu zatem nie uwarunkowania obiektywne czy też czynniki zewnętrzne, ale błędy polityki gospodarczej, której podmiotami są rząd i bank centralny. Gdyby nie rozkwit przedsiębiorczości tempo wzrostu byłoby jeszcze mniejsze.

No dobrze, ale czy można wrócić na ścieżkę szybkiego wzrostu, rzędu 6-7% rocznie?

- Można, choć nie jest to łatwe. Jak? Otóż następny rząd – jeśli myśli o szybkim wzroście poważnie – musi wziąć się za realizację gotowej już strategii rozwoju, jaką jest „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”. Nic nowego, a dokładniej nic lepszego nie jest w stanie zaproponować. Musi tylko zmienić nazwę i retorykę. I niech tak zrobi; nie będziemy się sprzeczać o prawa autorskie tak długo, jak będzie to robił dobrze i z pożytkiem dla Polski. Program ten, opierający się o cztery filary: skuteczne Państwo, szybki wzrost, sprawiedliwy podział, korzystna integracja, to kompleksowe i dynamiczne przedsięwzięcie, któremu warto poświęcić wiele sił, bo dobrze może on nam się przysłużyć.

A co z kursem złotego?

- Tu potrzebna jest radykalna zmiana, która raz na zawsze usunie niepewność i ukroci harce spekulacyjnego kapitału, który zarabia miliardy kosztem polskiego podatnika, przedsiębiorcy i konsumenta. Przyjmując, że będzie realizowany program reform strukturalnych i naprawy finansów publicznych należy jednorazowo zdewaluować złotego wobec euro – do poziomu 4,50 – i związać go na sztywno w ramach tzw. zarządu walutą do czasu wejścia do euro. Ustabilizuje to oczekiwania, podniesie opłacalność eksportu – a więc i wysokość produkcji, zatrudnienia, dochodów i wpływów budżetowych – ograniczając zarazem dynamikę importu, co sprzyjać będzie równoważeniu bilansu handlowego oraz powstawaniu nowych miejsc pracy.

Proponował pan to już trzy lata temu, ale wtedy z kursem 4,35...

- Tak, ale w międzyczasie jednak inflacja i wzrost kosztów produkcji swoje też zrobiły i teraz poziom kursu złotego do euro, gwarantujący długookresową konkurencyjną równowagę, wynosi około 4,50. Wystarczy zatem dewaluacja o jakieś 7% i zamrożenie kursu aż do wprowadzenia euro do obiegu. Takie jednorazowe posunięcie towarzyszące pakietowi reform strukturalnych otworzyć mogłoby kolejny okres szybkiego wzrostu.

Od szoku do terapii

W okresie transformacji wyodrębni pan cztery wyraźne okresy, korespondujące z fazami cykli politycznych i kolejnymi kadencjami Sejmu. Kiedy pan prowadził polską gospodarkę, rozwijała się najszybciej. Podsumujmy krótko naszą transformację...

- Cóż, podczas minionych 16 lat transformacji można było osiągnąć znacznie więcej dużo mniejszym kosztem. Obecnie PKB na mieszkańca, licząc paritetem siły nabywczej, wynosi około 12 tysięcy dolarów. Mogłoby już być o jakieś 25% więcej – z 15 tysięcy – gdyby nie szkodliwa polityka szoku bez terapii na początku poprzedniej dekady i niepotrzebnego przechłodzenia gospodarki w jej końcowych latach. Nie przypuszczałem wiosną 1997 roku, kiedy opuszczałem rząd zostawiając gospodarkę – a wtedy już Polska była członkiem OECD – z tempem wzrostu PKB w drugim kwartale aż 7,5%, że po pięciu latach przyjdzie do polityki wrócić, bo tempo wzrostu zostanie sprowadzone przez fatalną mieszankę naiwnego neoliberalizmu z prawicowym populizmem do śladowych 0,2% w czwartym kwartale 2001 roku. Ale polityka nie musi fatalna; może być dobra.

Przecież mógłby pan – podobnie jak czynią to niektórzy pańscy poprzednicy i następcy na stanowiskach wicepremiera i ministra finansów – wstąpić do którejś z partii władzy. Przestałby by pan, co prawda, być bezpartyjnym fachowcem, ale może udałoby się trzeci raz rozpędzić polską gospodarkę?

- Politykę gospodarczą mogłem uprawiać na moich programowych, a nie cudzych, partyjnych warunkach. Partii nam się namnożyło, ale niestety nie ma warunków do skutecznej polityki gospodarczej. A inna mnie nie interesuje. Dla wielu polityka to kto kogo, kto z kim, kto za ile, dla mnie zaś oznacza ona zdolność rozwiązywania masowych problemów społecznych na gruncie ekonomicznym i finansowym. Nie widzę – nawet za horyzontem – partii, której można by zaufać. To się może zmienić najwcześniej za 4-5 lat, po następnej kadencji i odświeżeniu. Polityków też jakby więcej, ale przecież od przemałowania i tasowania asów nie przybyło.

Nie kupiłby pan od nich używanego samochodu?

- Nawet roweru...

W takim razie niech pan biega dalej.

- Biegam. I czas też biegnie...

Rozmawiał Andrzej Dryszel

Stopa bezrobocia i stopa wzrostu PKB w Polsce



